

Mary Hooper

Siostra

Rozdział 1

Grace, tuląc do piersi drogocenne zawiniątko, bez większego trudu znalazła wejście na dworzec. Pociąg linii Necropolis kursował – tak jak powiedziała akuszerka, pani Smith – własnymi torami z Waterloo do Brookwood w hrabstwie Surrey. Na londyńskiej stacji tuż przed jedenastą zebrały się odziane w czerń rodziny. Nieliczne kobiety, którym stan nerwów pozwolił na przybycie, miały gęste woalki, suknie z czarnej krepy, pozbawione błyszczącej biżuterii, guzików czy ozdób, mężczyźni zaś włożyli cylindry z żałobnymi opaskami, oficjalne fraki i ciemne krawaty z bombazyny¹. Wszyscy czekali na pociąg mający zawieźć ich wraz z utraconymi bliskimi na wieś, do wielkiego ogrodu snu w Brookwood. Tam, z dala od londyńskich mgieł i brudu, ich najdrożsi zmarli mogli odpoczywać wśród sosen, róż i wiecznozielonych krzewów.

Grace trzymała się trochę z tyłu. Nigdy jeszcze nie jechała pociągiem, więc była speszona i zaniepokojona. Niepewna, jak się zachować, z uwagą obserwowała żałobników podchodzących do kasy i kupujących bilety. Kiedy niemal wszyscy przeszli już do poczekalni, zbliżyła się do okienka.

– Proszę do Brookwood – powiedziała. – I powrotny.

Kasjer podniósł głowę.

– Pierwsza, druga czy trzecia klasa, panienko? – spytał stroskanym tonem, którym pracownicy linii Necropolis zwracali się do klientów.

– Trzecia – oznajmiła Grace, podając mu dwa szylingi otrzymane od akuszerki.

– Panienska podróżuje sama? Nie z tamtym towarzystwem?

Grace skinęła głową.

– Jadę sama. Na... grób matki – skłamała.

Kasjer przesunął w jej stronę gruby bilet o czarnych krawędziach.

– Zatem proszę łaskawie przejść do stosownej poczekalni. Zostanie ona pani wskazana. Pozwolę sobie przypomnieć, że pociąg odchodzi dokładnie o wpół do dwunastej. Miłego dnia.

Grace wzięła bilet, wymamrotała podziękowanie i odeszła.

Na dworcu znajdowały się trzy poczekalnie, po jednej dla pasażerów każdej klasy. Stroje zajmujących je ludzi, choć oczywiście bez wyjątku czarne, świadczyły o pozycji

¹ Jedwabna tkanina farbowana na czarno i używana do szycia ubiorów żałobnych.

społecznej. Ci z drugiej klasy byli odziani mniej elegancko i uroczyście niż ci z pierwszej, a niektórzy z trzeciej – sądząc po naszytych łątach i ogólnym zaniedbaniu – wydawali się niemal nędzarami. Grace, w spłowiałym, wielokrotnie cerowanym ubraniu, doskonale wtapiała się w tłum ubogich. Pasażerowie, przytłoczeni bólem ponad siły, nie zwracali zresztą uwagi na bladą, szczupłą dziewczynę ze spuszczoneymi oczami, wyglądającą na znacznie mniej niż piętnaście lat i trzymającą małe płócienne zawiniątko. Gdyby ktoś się jednak zainteresował jej paczuszką, pomyślałby, że to zapasowe buty na błoto albo szal na niepogodę.

Dokładnie dwadzieścia po jedenastej ludzie zaczęli opuszczać poczekalnię. Osoby podróżujące pierwszą klasą zostały zaproszone do wagonów przez zgiętych w ukłonach przedstawicieli domów pogrzebowych. Wsiadały jako pierwsze, by uniknąć upokarzającego kontaktu czy choćby widoku pospółstwa z trzeciej klasy. Trumny ich bliskich także miały podróżować osobno, nienarażone na afront, jakim byłoby ustawienie ich obok mniej szacownych zmarłych.

Gdy wszyscy pasażerowie usiedli na swoich miejscach, zajęto się ładowaniem trumien do wagonu pogrzebowego – z zachowaniem największej dyskrecji, by nie sprawiać nikomu niepotrzebnej przykrości. Ci, którzy nie towarzyszyli doczesnym szczątkom krewnych, lecz wybierali się na cmentarz, by posprzątać na grobie czy zostawić kwiaty, wsiedli do osobnego wagonu. Grace znalazła się wśród nich. Ktoś zauważył, że pogoda jest wyjątkowo piękna, a pozostali pasażerowie przytaknęli, jednak pogrążona w smutnych myślach dziewczyna nie podniosła głowy. Nie zamierzała włączać się do rozmowy.

W końcu co za różnica, czy pada deszcz, czy śnieg? Świat mógłby zginąć we mgle i nigdy więcej nie ujrzeć słońca. Nic nie miało znaczenia po tym, jak urodziła martwe dziecko.

Pociąg ruszył o czasie z ogłuszającym szczękiem i sapaniem, wśród kłębow pary otaczających go niczym chmura. Z któregoś z dalszych wagonów dobiegł krzyk: „Co, u diabła...?!”, i pisk przerażonej kobiety. Zatem nie tylko Grace po raz pierwszy wybrała się w podróż koleją. Dziewczyna – zaskoczona hałasem – zerwała się na równe nogi, lecz gdy poczuła na sobie spojrzenia współpasażerów, natychmiast usiadła.

Podróż miała potrwać około godziny, a ona, dzięki radom akuszerki, wiedziała, co robić: gdy pociąg ruszy, powinna pójść do wagonu pogrzebowego, wybrać trumnę (wcale nie najskromniejszą, lecz znajdującą się w pierwszej klasie, z dobrego drewna i z mosiężnymi uchwyty), unieść wieko, a następnie złożyć w środku zawiniątko. To wszystko. Gdy pociąg dotrze do celu, trumny zostaną wyniesione przez tragarzy i zaśrubowane przed przeniesieniem na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie odbędą się prywatne nabożeństwa i uroczystości.

Położna zapewniała, że jeśli Grace się pospieszy, nikt nie zauważy, że w jednej z trumien leży ktoś jeszcze... A taki pochówek jest o wiele lepszy niż londyńskie cmentarze dla nędzarzy.

- Zawsze to doradzam dziewczętom, które doświadczyły straty - dodała. - Potem musisz o wszystkim zapomnieć. Nigdy nie mów o dziecku - nawet gdy wyjdiesz za mąż. Jesteś kobietą upadłą, nikt ci nie wybaczy tak ciężkiego grzechu.

Grace usiłowała tłumaczyć, że niczym nie zawiniła, że dziecko zostało poczęte wbrew jej woli, ale pani Smith nie chciała dłużej słuchać. Twierdziła, że milczenie pomaga zapomnieć.

Gdy kołysanie pociągu nabrało jednostajnego rytmu, a cuchnące opary Londynu z wolna ustąpiły milszym zapachom zielonych podmiejskich okolic, Grace wyjrzała przez okno, myśląc o wydarzeniach ostatnich dni.

Poród, choć bolesny, przebiegł na szczęście dość szybko - Grace bowiem przez wiele godzin wmawiała sobie, że nic nie czuje. Wcześniej całymi miesiącami przekonywała się, że wcale nie jest przy nadziei. I rzeczywiście, do paru tygodni przed porodem nikt by się tego nie domyślił. Dopiero wówczas zaczęła dostrzegać znaczące spojrzenia innych ludzi. A w sobotę słyszała dobiegające z karczmy okrzyki: „Jest tu panna, co na gwałt szuka męża!” i „Nie od piwa brzucha jej przybywa!”. Oczywiście Grace powiedziała o wszystkim Lily, nie miała jednak pewności, czy jej siostra rozumie, skąd się biorą dzieci.

Czując, że czas rozwiązania się zbliża (choć nie potrafiła wyjaśnić, skąd to przekonanie, nie miała przecież pojęcia, ile powinna trwać ciąża), zaczęła szukać pomocy. Wiedziała, że musi się spodziewać nie tylko bólu, lecz także krwi. Wcześniej poprosiła o radę znajomą, która znajdowała się w podobnej sytuacji, i otrzymała od niej nazwisko akuszerki. Ta jednak odmówiła, bo według niej Grace była za młoda, a cała sprawa - gorsząca. Nie chciała mieć nic wspólnego ze sprowadzeniem na świat bękarta. Grace zasięgnęła także języka w wielkim szpitalu przy Westminster Bridge, ale oznajmiono jej, że o poradę mogą prosić wyłącznie mężatki, które przedstawią akt ślubu.

Dlatego sposób i miejsce powicia dziecka dziewczyna musiała pozostawić losowi. Gdy pewnego wczesnego ranka zaczęły się bóle, poinstruowała Lily, czym ma się zająć pod jej nieobecność, po czym zostawiła siostrę samą i z trudem dotarła na piechotę do najbliższego szpitala na Charing Cross. Odprawiono ją z kwitkiem, ale zdołała porozmawiać z życzliwą pielęgniarką, która odesłała dziewczynę do Berkeley House w dzielnicy Westminster („Tam przyjmują upadłe kobiety” - wyjawiała szeptem kobieta).

Berkeley House znajdował się niedaleko - brzydki budynek z brudnego kamienia, z zamkniętymi okiennicami - ale gdy Grace do niego dobiegła, skurcze tak bardzo się nasiliły, że gdyby personel nie zgodził się jej przyjąć, urodziłaby na progu. Tabliczka na

zewnątrz głośiła, że przyjęte zostaną tylko niezamężne kobiety w pierwszej ciąży, i surowo przypominała o niebezpieczeństwach porodu:

Pacjentki powinny zadbać o to, by w razie tragedii móc zapłacić za pogrzeb.

Szpital nie ponosi kosztów pochówku dziecka ani matki.

Bez dalszych pytań – na szczęście – zaprowadzono ją do pokoju z sześcioma łózkami otoczonymi zasłonkami z cienkiej bawełny, w nogach których zamiast kołysek ustawiono drewniane pudełka. Poza tym w sali nie było innych mebli ani ozdób – jedynie wielki czarno-biały portret królowej Wiktorii.

Grace osunęła się na łóżko. Słyszała płacz dwojga dzieci, czyjś jęk, krzyk kobiety wzywającej Boga w godzinie próby i spokojny głos akuszerki perswadującej coś rodzącym.

– Już niedługo, Mary – zapewniła położna po zbadaniu Grace i wyjaśniła, że swoje dziewczyny zawsze nazywa „Mary”. One zaś miały się do niej zwracać „pani Smith”.

– Przygotowałeś rzeczy dla dziecka? – spytała akuszerka. – Masz łóżko osłonięte przed przeciągami i czyste bawełniane prześcieradła, które można wygotować?

Grace pokręciła głową.

– A ubranka? Pieluszki i becik? Kaftaniki i koszulki? Te rzeczy nie pojawiają się wraz z dzieckiem, wiesz? Nie pomyślałaś o jego potrzebach?

Dziewczyna odwróciła się do ściany. Pomimo rosnącego brzucha, podstawowej wiedzy o funkcjonowaniu ciała i świadomości tego, co się wydarzyło przed dziewięcioma miesiącami, właściwie nie wierzyła, że urodzi. Dlaczego coś takiego się dzieje? Czy ona sama nie miała nic do powiedzenia?

Akuszerka cmoknęła z niezadowoleniem.

– Gdzie mieszkasz, dziecko?

– Mam pokój w pensjonacie pani Macready w Seven Dials – wykrztusiła dziewczyna.

– Boże, dopomóż. Tam? – Pani Smith pokręciła głową. – W dzielnicy biedoty?

– To czysty pokój – powiedziała Grace tonem usprawiedliwienia. – Mieszkam w nim tylko z siostrą.

– Masz rodzinę? Czy twoi rodzice wiedzą o maleństwie? Czy ubiegasz się o miejsce w jakiejś instytucji charytatywnej? Czy masz dość pieniędzy, by zapłacić za twój lub jego pogrzeb, gdyby wydarzyło się najgorsze?

Grace, nie chcąc odpowiadać na pytania, zastygła w oczekiwaniu na ból.

– Czy ojciec dziecka wie? – dociekała akuszerka, gdy skurcz minął. – Czy ci pomoże? Czy... Boże, uchwaj... jest żonaty?

– On nie wie – szepnęła Grace. – I nigdy się nie dowie.

- Więc nie masz nikogo, kto by się tobą zajął w położu, nikt nie czeka na dziecko, nikt ci nie pomoże w jego wychowaniu?

Grace pokręciła głową. Do tej pory nie sądziła, że dziecko stanie się równie realne jak wrzeszczące maluchy z czerwonymi buziami, które ubogie kobiety nosiły ze sobą do pracy.

- A może ty... rodzisz to dziecko, żeby dla ciebie żebrało? - rzuciła nagle podejrzliwie akuszerka.

- Ależ skąd! - rzuciła Grace z największą determinacją, na jaką mogła się zdobyć.

Bóle były coraz gwałtowniejsze. W pewnej chwili pani Smith podała dziewczynie mocne sole, od których zakręciło jej się w głowie. Popadła w stan podobny do omdlenia, choć nie straciła przytomności. Kiedy działanie substancji ustało, w pokoju panowała już ciemność, pani Smith zaś zajmowała się dziewczyną leżącą dwa posłania dalej. Grace z wysiłkiem dźwignęła się z miejsca, by zajrzeć do skrzynki stojącej u stóp łóżka.

Była pusta.

Wezwana akuszerka po chwili porzuciła swoją podopieczną i podeszła. Z łagodnym wyrazem twarzy pogłaskała Grace po głowie.

- To bardzo smutne, lecz tak będzie najlepiej dla wszystkich.

- Co się stało? Gdzie dziecko?

- Przykro mi, moja droga. Umarło.

Po tych słowach zapadła cisza. Ku zaskoczeniu Grace po jej policzkach polały się łzy. Nie wyobrażała sobie żywego, prawdziwego dziecka, dlatego więc jego śmierć tak nią wstrząsnęła?

- Chłopiec czy dziewczynka? - wykrztusiła wreszcie.

- Chłopiec, niech Bóg nad nim czuwa.

- Żył?

Pani Smith pokręciła głową.

- Nie zaczerpnął ani jednego oddechu.

Grace opadła na materac.

- Czy popełniłam jakiś błąd... kiedy go nosiłam?

- Nie, kochanie. Tak się czasami dzieje z młodzietkami dziewczętami: wasze ciała nie są gotowe, by wydać na świat dziecko. Wierz mi, właściwie dobrze się stało. Sama jesteś jeszcze dzieckiem i nikt się tobą nie opiekuje. Twój synek nie przeżyłby pierwszej zimy. Seven Dials to nie miejsce dla niemowlęcia.

- Ale umarł...

- Nie zdążył zacząć żyć - poprawiła ją akuszerka. Założyła pasmo włosów za ucho Grace. - Masz tak niewiele lat. Urodzisz inne dzieci - w swoim czasie. Zapomnisz o smutku.

- Czy mogę...? - Grace nie wiedziała, o co właściwie chce poprosić, ale akuszerka od razu się domyśliła i zareagowała żywo.

- Lepiej na niego nie patrz - zaprotestowała energicznie. - Zawsze to odradzam. Wyobraź sobie, że to sen, bajka... coś, co się nie wydarzyło. Tak będzie łatwiej.

Grace znowu zaczęła płakać.

- Powiadam ci, dobrze się stało. Teraz zaśnij, wypocznij. Wkrótce wydobrzejesz i pójdziesz w swoją stronę.

Rzeczywiście, rano Grace zjadła talerz mięsa z ziemniakami ufundowany przez Towarzystwo Opieki nad Upadłymi Kobietami, a potem oddała łóżko następnej dziewczynie. Jednak przedtem wręczono jej zawiniętą w płótno paczuszkę i opowiedziano o pięknym cmentarzu na wsi.

- Nie robię tego dla każdej dziewczyny, lecz ciebie jest mi bardzo żal - wyjaśniła akuszerka, wkładając jej w dłoń dwie monety.

Grace spojrzała na nią zdziwiona.

- Te szylingi wystarczą na pociąg. Niemal wszystkie londyńskie cmentarze są już przepelnione, a ty chyba nie chcesz, by twoje dzieciątko spoczęło we wspólnym dole, prawda?

Grace pokręciła głową. Nie potrafiła znieść tej myśli.

- No właśnie. Dlatego musisz jechać do Brookwood.

- A co tam jest?

- To jakby piękny ogród pełen drzew, kwiatów i posągów. Kiedy pomyślisz o swoim biednym synku, wyobrazisz sobie, że czuwają nad nim kamienne anioły.

Grace posłała jej blady uśmiech. Pani Smith także się uśmiechnęła. Całkiem jakby chciała w ten sposób powiedzieć, że pochówek dziecka to rytuał, którego należy dopełnić i który pomoże w przebyciu żałoby.

- A kiedy go pochowasz - dodała - musisz zacząć żyć na nowo...

- Zacząć żyć na nowo - szepnęła zamyślona Grace. Nagle sobie uświadomiła, że, niemal uśpiona ruchem pociągu, wypowiedziała te słowa na głos.

- Panienka dobrze się czuje? - Obok niej siedział mężczyzna w wytartym surducie i sfatygowanym czarnym cylindrze.

Grace przytaknęła i mocniej ścisnęła swoje zawiniątko.

- Za młoda panienka na podróż tym pociągiem. Umarł panience ktoś bliski?

Przytaknęła i gestem dała do zrozumienia, że woli o tym nie mówić. Spojrzała w okno, za którym nieustannie zmieniał się krajobraz.

„Zacząć żyć na nowo – stuknęły koła wagonu – zacząć żyć na nowo...”. Jeśli zdoła przetrwać ten dzień, rzeczywiście spróbuje nadać życiu jakiś sens. Stworzyć przyszłość dla siebie i Lily.

Pociąg z łoskotem przejechał pod mostem; hałas wyrwał Grace z zadumy. Już czas, musi znaleźć miejsce ostatniego spoczynku dla synka...

Ktoś inny zapewne cofnąłby się przed tym obowiązkiem z lęku przed wejściem pomiędzy zmarłych, Grace jednak dość już wycierpiała, aby wiedzieć, że bać należy się wyłącznie żywych. Otuliła głowę szalem, otworzyła drzwi wagonu i wyszła na korytarz. Wszędzie panowała cisza, gdyż żałobnicy podróżowali w zamkniętych wagonach (w ostatnim siedzieli razem reprezentanci domów pogrzebowych, racząc się różnymi anegdotami i whisky).

Pociąg dudnił, trząsł się i kołysał, pokonując zakręt. Grace przytrzymała się framugi okna, dopóki pojazd nie znalazł się na prostym odcinku torów. Wówczas otworzyła drzwi wagonu bagażowego, w którym stały trumny, i weszła do środka.

Jedynym źródłem światła w pozbawionym okien wnętrzu były dwie świece w kinkiecie na ścianie. Wzrok dziewczyny dopiero po chwili przywykł do półmroku. Wówczas okazało się, że wagon podzielono na trzy części wypełnione wąskimi metalowymi półkami. Nawet w przyćmionym świetle różnica między spoczywającymi na nich trumnami bogaczy i biedaków rzucała się w oczy. Te ostatnie zrobiono z lichego drewna, a nazwiska zmarłych i daty ich zgonu wypisano ręcznie na kartkach, podczas gdy te pierwsze wykonano z lakierowanego drewna z uchwyty, okuciami i grawerowanymi tabliczkami z mosiądzu lub srebra.

Grace odczytała parę tabliczek. Epitafia były piękne, jakby pisały je anioły: „Sebastian Taylor, oddany mąż i ojciec”, „Maud Pickersley, poświęciła się pomocy pokrzywdzonym przez los”, „Jessy Rennet, przeszedł przez życie pobożnie, pokładając nadzieję w Panu”.

Pociąg zwolnił nieco, jakby zbliżali się do celu. Grace zaczęła niespokojnie się rozglądać. Którą trumnę wybrać? Chciała, żeby jej dziecko spoczęło obok kobiety, obok kogoś życzliwego, z dobrej rodziny. Zatrzymała się przed trumną z białego dębu, w której znajdowały się doczesne szczątki „panny Susanny Solent, obrończyni biednych, księżniczki ubogich”.

„Panna Susanna Solent” – powtórzyła w myślach Grace. Tabliczka nie wspominała o wieku kobiety; najwyraźniej nie zostawiła ona potomków, a jednak wydawała się osobą, która okazałaby biednemu dziecku serce i zapewniła mu dach nad głową.

Grace uniosła wieko jasnej trumny z ciałem Susanny Solent i nie patrząc, wsunęła do środka zawiniątko. Czuła potrzebę jakiegoś pożegnania, więc wyszeptała:

– Śpij słodko, a pewnego dnia znowu się spotkamy.

Potem wyszła szybko na korytarz, ocierając oczy.